DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLINSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok II. | Berlin, niedziela, dnia 25 czewca 1922 r. | Nr. 13.

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.

Pogrzeb Kazimierza Wielkiego.

1. Idą posępni
A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
A grają im dzwony
Żałobne.
2. Idą posępni
A niosą korony
Ozdobne,
Misterne, a dla nich
Ciążące, jak ołów,
Korony zczerniałe,
Pogrobne.
3. A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
A szumią, łopocą
Szarfami przyczołów
Chorągwie, proporce
Pogrzebne.
4. A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
Ogromne, tętniące,
Podniebne.
5. A śpiewy nad nimi,
Jak skrzydła aniołów
Kołyszą się górne,
Wróżebne.
6. A idą posępni
Ze wszystkich kościołów
Z cechami, wieńcami,
Co kwitne, pachnące,
W tysiące były liczone.
7. I chłopy sukmanne
I pany strojone
W pąsowe żupany, delije.
8. I dziewki przekrasne,
Panięta przejasne,
Jaśniejsze niż białe lilije.
9. A idą żałobni
A idą posępni
Przez długie ulice podgrodne;
A idą żałobni
A idą posępni
Choć niebo błękitem pogodne.
10. Wiatr chmury przegania,
To skrywa, odsłania
Orszaki pochodne, stokrotne;
11. A cienie się wiją
To jaśnią, to kryją,
To w biegu znikają przelotne.
12. A oni posępni,
A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów zawodne,
13. Czyli łąki nietknięte tak gwarzą
Czy kwiaty wycięte się skarżą, —
Czyli łąki i łany się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.
14. Czy to lasów stoki się chwieją,
Czy tak wieńce jodłowe wonieją...
Czy to lasy sosnowe się kłonią,
Czyli wiatru przygięte pogonią.
15. Za orszakiem — czy to łąki szarzeją...
Za orszakiem, czy to łany już gwarzą,
Za orszakiem, czy to bory się chwieją
Za orszakiem, czy to lasy już idą...
Czyli pszczelne roje tak brzęczą
Za orszakiem, — czyli ziemię tak jęczą...
16. A idą żałobne
Posępne, pogrzebne
I łąki pachnące
I lasy podniebne,
Wnuczęta jego pogrobne.
17. A grają im dzwony
Ze wszystkich kościołów
Ogromne, tętniące,
Wróżebne.

. . . .
. . . .

Weselne gody w Krakowie.

(Dokończenie.)

III.

Już trzeciego dnia po zjechaniu oblubieńca odbył się ślub cesarski. Odbył się zaś w katedrze zamkowej w obecności wszystkich zgromadzonych królów, nuncjusza papieskiego, książąt, panów i szlachty, cudzych i swoich. Celebrował przesławny arcybiskup gnieźnieński Jarosław, jeden z najznamienitszych mężów tego czasu, starzec blisko dziewięćdziesięcioletni (jeszcze 13 lat mający żyć na świecie), już prawie zupełnie ociemniały, a czczony w narodzie jako „najmędrszy z żyjących wówczas Polaków."

Po ślubie nastąpiła wypłata posagu, oznaczonego przez Kazimierza Wielkiego w sumie 100 tysięcy złotych florenckich. Nastały też uczty kosztowne i wesołe, uczty blisko trzechtygodniowe, które miały rozgłosić uroczystość wesela królewskiego w Krakowie i chwałę gospodarza godów, Kazimierza. Codziennie przez dni dwadzieścia szły nieprzerwaną koleją turnieje, biesiady, tańce, krotochwile i uciechy wszelkiego rodzaju. Z turniejami łączyły się ceremonje rozdawania przez Kazimierza bogatych danków rycerskich; każdą biesiadę uświetniało uczczenie gości upominkami, zdumiewającymi swoją kosztownością.

IV.

Ale nie sam tylko Kazimierz chciał tym sposobem zaspokoić ambicję swoją. I możny jego za-

rządzca dworu, pan stolnik sandomierski, miljonowy bogacz, Wierzynek, zapragnął urządzić ucztę bezprzykładnej okazałości. Mógł monarcha krakowski przez dni tak wiele podejmować gości wspaniale, to jego sędziwemu mistrzowi dworu godziło się pożądać na chwilę tego zaszczytu. Za czyjem staraniem królowie i wszyscy goście mogli tak długo oddawać się w swobodzie i wygodzie wszelkim uciechom, temu należała się w końcu odwdzięka krótkiego pobiesiadowania pod jego własnym dachem.

Pozwolili tedy królowie zaprosić się przezeń na ucztę i majestatycznym pochodem udali się z książętami i pany do jego domu, opodal zamku krakowskiego. Gdy już zasiadać miano do stołu, pokłonił się starzec monarchom i prosił, aby według własnego zdania mógł oznaczyć miejsca każdemu z królów. Otrzymawszy zaś to pozwolenie, obrócił się Wierzynek do króla Kazimierza i rzekł: „Tobie, najjaśniejszy Panie, winienem wszystko, co mam. Ty swojemy dobrodziejstwy bez miary wzbogaciłeś mnie, przybysza; między najpierwszemi panami posadziłeś mnie, gościa w mojem królestwie; tobie też pierwsze miejsce u mego stołu!"

I posadził Kazimierza najwyżej. Obok niego dał pan stolnik miejsce cesarzowi Karolowi IV. Tuż przy cesarzu usiadł król węgierski Ludwik, przy Ludwiku cypryjczyk Piotr, a ostanie miejsce zajął Waldemar duński. U jednego tedy stołu siedziało pięciu monarchów, z których czterech potomność uczciła Wielkimi: „Kazimierz Wielki, Karol IV, „Wielki" król Czech, „Wielki" w Węgrzech, król Ludwig i cypryjski Piotr Wielki. Reszta książąt i panów rozsadowiła się według zwyczajnego porządku.

I wszczęła się wielka uczta, głośniejsza w pamięci pospolitej od wszystkich zdarzeń współczesnych. Kto na niej nie był, temu trudno uobecnić sobie jej rysy, tak różne od dzisiejszych, jej wesołość rubaszną, jej dziwną mieszaninę przesadnej ceremonjalności z prostoduszną poufnością, jej śmiechy szczere i wiwaty ochocze.

Najweselszą jednak zabawę przygotował gospodarz dopiero pod sam koniec zebrania. Gdy goście królewscy mieli już opuścić gościnny dom Wierzynka, uczcił on ich upominkami niezmiernej ceny, stopniującej się według stopnia dostojności, każdego z królów. „Różne dary", opowiada kronikarz, „które otrzymał w ten sposób król Kazimierz, dochodziły, jak słychać, wartości stu tysięcy złotych florenckich." Jakże pamięć ludzka nie miała była przylgnąć chciwie do tej uczty kociowej, zapominając o wszystkich innych zdarzeniach.

V.

Wśród scen takiego przepychu zbliżył się wreszcie koniec wszelkim uroczystościom. Z połową maja, przed samemi Świętami Zielonemi, upłynęła pora godom weselnym. Przez dni dwadzieścia weseliły królów nieprzerwaną koleją krotochwile wszelkiego rodzaju, gonitwy, pląsy, osobliwie huczne bankiety w komnatach odbudowanego przez Kazimierza pałacu królewskiego, ustrojonych bogato w kobierce i purpury, na których wytwornym haftem perłami i kamieniami drogiemi wyobrażone były orły i inne herby królewskie — w owe przybory stołowe i kredensowe, owe misy ze szczerego złota, naczynia z jaspisu i kryształu, niezliczone rogi do picia, wysadzane złotem i srebrem, o których mowa jest w testamentowych króla Kazimierza rozporządzeniach.

Cały ten wielodniowy przeciąg czasu wydał się jednym nieustającym bankietem i uchodzi też rzeczywiście w kronikach za jednę wielką ucztę, wyprawioną dla okazania zamożności korony. Na koniec w tymże samym zamiarze, jak bogaty Wierzynek, tak i Kazimierz Wielki uradował gości królewskich różnemi gościńcami, przeznaczonemi roznieść po dalekich krajach sławę bogactw i gościnności gospodarza sąsiedzkiej krakowskiej. Całe wesele cesarskie w stolicy polskiej było jednym, głośnym na wszystek świat, dokumentem jedności pomiędzy monarchami i przyjaźni. Karol Szajnocha (Szkice).

Święta sosna Karasaki umarła...

W Japonji drzewo może posiadać duszę, być przedmiotem czci a nawet czci religijnej. Bywa świętością, do której pielgrzymują pobożni. Taka była święta sosna Karasaki, rosnąca nad brzegami jeziora Biwa niedaleko Kioto. Losy jej związane były z losami okolicznej ludności od lat przeszło tysiąca. Czczona jako świętość i skarb narodowy była ogniwem łączącym starą kulturę japońską z dzisiejszym wszechpotężnym Nipponem.

Niedawno oficjalnie święta sosna Karasaki uznana została za zmarłą. Sosna Karasaki tak fantastycznie miała pokręcone gałęzie, że przypuszczenie, iż duch jakiś ją zamieszkuje, było zrozumiałe. Pień jej, wyrósłszy aż do 30 stóp ponad ziemię, rozpościerał się tu takiem bogactwem pogmatwanych w dół i w górę gałęzi, że zakrywał niemi przestrzeń aż trzech arów. Gałęzi tych było 380 grubych jak zwykły pień sosnowy a podpierano je palami lub stosami kamieni, pozostawiając dość miejsca, by wygodnie mógł człowiek stać w ich cieniu. Tradycja podaje opowieść, że drzewo stało raz w ogrodzie wielkiego króla, innym razem opowiada, że zdobiło posiadłość jednej z rodzin kapłańskich należących do klasztoru buddyjskiego na górze Hicizan, wznoszącej się nad jeziorem Biwa. Tuż obok drzewa znajduje się kapliczka poświęcona pamięci Japonki z rodziny kapłańskiej, ale legenda o niej rozsnuła się już we mgle i większość pielgrzymów zdążała do świętego drzewa, uważając je za symbol długowieczności i powodzenia.

Od lat pięciuset drzewo to słynęło na całą Japonję, podróżni by je odwiedzić zbaczali z drogi, w dramatach japońskich z przed lat pięciuset w powieści i szkicach z podróży często spotykamy się z wzmianką o Karasaki. Poetom dawała natchnienie a corocznie w lecie odbywała się uroczystość ku czci drzewa; wtedy zawieszano na gałęziach mnóstwo kolorowych lampionów, a ludność wsi i miasteczek okolicznych podążała nad brzegi jeziora by dobę całą spędzać w weselu. Sześć sławnych widoków jeziora Biwa opiewanych bywało przez poetów; uświetnianych przez malarzy. Z tych najsłynniejszy był temat „Deszcz spadający w nocy na sosnę Karasaki". Szmer deszczu spadający na niezliczone gałęzie odwiecznej sosny uważany był przez poetów za koncert godny choćby kilkodniowego zboczenia z uciążliwej podróży. Dziś tylko wiatr dzwoni zeschłemi konarami niby olbrzymiego kościotrupa kośćmi.

Od lat kilku wiedziano, że drzewo umiera. Uczeni badali przyczynę osłabienia, próbowali utrzymać drzewo przy życiu, napełniając spróchniałe gałęzie cementem. Zabobonna ludność, sądząc, że drzewo zamiera z braku pożywienia, karmiła je papką ryżową. Lecz pomimo wszystkiego, drzewo schło bez nadziei, a gdy ostatnie ślady zieloności znikły, odbyła się dziwaczna ceremonja. W obliczu gubernatora, stu urzędników i przedstawicieli kultu szinto, oznajmiono

kniec świętej Karasaki przenosząc przy rytuale religijnym ducha jej na inną zaledwie 350-letnią sosnę rosnącą nad tymże brzegiem Biwy. Sosna ta w rozroście swoim ukazuje niezmierne podobieństwo kształtem i rozłożystością do swej rodzicielki, tak że myśl przesadzenia do niej świętej duszy Karasaki była szczęśliwa. Jest wszelka nadzieja, że nowe drzewo godnie zastępować będzie tradycje rodzinne przez dalszych lat tysiąc.

MYŚLI.

Stare prawdy, jakby stare monety, spadają spuścizną z pokolenia na pokolenie, idą z rąk do rąk, każdy je bierze i znów oddaje, nie przypatrzywszy się nawet napisom wytartego pieniążka ani też wadze i znaczeniu jego.

Owoc poznania i prawdy wtedy tylko zgubny jest dla człowieka, gdy zerwany bez pracy, za wyciągnięciem ręki z pustej ciekawości; lecz staje się najświętszem jego prawem, gdy jest zdobyty siłeniem się i pasowaniem wieków i pokoleń i poświęceniem szczegółowych ludzi; wtedy ten owoc poznania staje się owocem wiecznego żywota.

Co przemieszkuje na dnie ducha, winno wystąpić na dzień jasny, przybrać się w krew i ciało, winno urość w rzeczywistość i dać znać o sobie. Serca zacność, zdolności, usposobienia drzemią cichą iskrą w skrytościach istoty naszej; lecz rozbudzą się potężnie i dźwigną, gdy na nie przyjdzie wołanie z góry — a głos wołania tego wcześniej lub później nastąpi, byleby treść ta iście była w duchu, byleby nie była kłamstwem zawodnem.

Józef Kremer
Fenomenologja i logika.

Skazani na wieżę.

(Przyczynek do kultury w dawnej Polsce.)

Kodeks karny w czasach panowania króla Augusta II, Augusta III i w początkach rządów Stanisława Augusta odznaczał się wielką surowością dla wszystkich klas społeczeństwa bez wyjątku. Mogło się zdarzyć, że ten i ów wysoki dygnitarz sądowy w wymiarze kary czynił skazanemu niejakie ulgi, na ogół jednak wyroki sądu bywały w poszanowaniu i szczególnie w stosunku do szlachty, podlegały kontroli ze strony tych zwłaszcza, którym na skrupulatnem wymierzeniu sprawiedliwości zależało.

Szlachta, jak wiadomo, stanowiąca sferę ponad innemi najbardziej uprzywilejowaną, w razie popełnienia przestępstwa kradzieży, była karana śmiercią haniebną na równi ze zwyczajnymi opryszkami, koniokradami lub cyganami. — Szlachcic schwytany na uczynku kradzieży lub świętokradztwa był przez kata pozbawiony klejnotu, t. j. publicznie policzkowany i wieszany na szubienicy. Nie mniejsza spotykała go kara, jeżeli świadkowie dowiedli mu, iż bluźnił przeciwko wierze św.

Zbrodnie zabójstwa, zadanie gwałtu ustawom o bezpieczeństwie publicznem oraz najazdy z rozlewem krwi, kodeks karał ścięciem głowy. Jeżeli pozwalały na to okoliczności łagodzące — sąd łagodził karę na więzienie w wieży głębokiej, trwającej najmniej rok i sześć tygodni. O wieżach jako więzieniach wspominało się poprzednio, lecz nie ze wszystkiemi szczegółami, które są ciekawe, oświetlają bowiem ówczesną procedurę karną.

Wieża była więzieniem, przeznaczonem wyłącznie dla szlachty. Były w niej cele dwojakie, górna i dolna (in fundo).

W górnej była tylko jedna izba obszerna, z umieszczonemi dookoła okienkami; obszar jej odpowiadał obwodowi wieży.

Wysiadywali w niej karę przestępcy szlachta, za mniejsze przewinienia skazani na karę pieniężną i pokutę w samotności. Skazany mógł jednak spoglądać z okienek na szeroką okolicę i cieszyć się światłem słońca, widokiem księżyca i gwiazd.

Sprawiedliwości głównie zależało na ukaraniu mniejszego przestępcy oderwaniem go od obcowania z ludźmi, pozatem w licznych wypadkach mógł mieć żywność z miasta za własne pieniądze dostarczaną i byleby się spokojnie zachowywał, nie doświadczał poniewierki. Jeżeli więzień górny zasługiwał na to swojem sprawowaniem, w miarę odsiadywania kary pozwalano mu przyjmowanie krewnych, nawet znajomych.

Do kar odsiadywanych w obu celach przywiązany był surowy rygor. Przestąpienie progu w górnej, a wychylenie głowy na światło i powietrze z dolnej celi miało ten skutek, iż czas wysiedziany przestał być liczony i przestępca rozpoczął karę od początku.

Każdy ze szlachty na jedną z tych wież skazany powinien się był stawić z własnej dobrej woli w sądzie grodzkim, znajdującym się przy wieży. Urzędnik sądowy zapisywał do aktu czas stawienia się, przyczem wyznaczał termin zwolnienia, według brzmienia wyroku. Położenie więźnia górnego było o wiele lżejsze. Szedł do celi pewny, że w razie choroby sąd niezabroni wezwać do niego lekarza lub rodziny.

Natomiast położenie skazanego na więzienie głębokie było beznadziejne i równało się prawie ze skazanymi na śmierć. Gdy się już zapisał w sądzie, był obowiązany zejść po drabinie na sam dół wieży i natychmiast wciągano drabinę do góry. Z tą chwilą taki nieszczęśliwy przestawał istnieć dla świata. Przez cały czas siedzenia w głębokości kilkunastu sążni, w norze zupełnie ciemnej, wilgotnej i pełnej robactwa, szczurów itp. nikt nie turbował się o jego życie. Jedynie raz na dobę spuszczano mu na sznurze wodę, chleb i ceberek do wyciągania nieczystości.

W wypadku choroby żadnej pomocy mu nie udzielano, nikomu nie było wolno przemówić doń słowa. Podobno nawet gdy umierał odmawiano mu pomocy religijnej, uważając podobnego przestępcę do czasu odbycia kary jako jednostkę z pod wszelkich praw ludzkich wyjętą.

W razie zaś niestawienia się dobrowolnie przestępca mógł być przez tego, komu się podobało, zabitym bez żadnej za ten czyn odpowiedzialności.

Zdarzyło się, iż książę Dymitr Sanguszko, skazany na wieżę za porwanie księżniczki Ostrogskiej, ratował się ucieczką za granicę. Zborowski, spotkawszy go w czasie podróży po obcych krajach, zabił księcia i o spełnieniu obowiązku obywatelskiego sąd zawiadomił.

Dla wykazania się przeto z odbycia kary każdy, kto opuszczał wieżę, otrzymał akt, który dla uchronienia się od następstw okazywał tym, którzy go o legitymację zapytali; w przeciwnym razie nie byłby pewnym swego życia.

Gorliwość katolików angielskich.

I.

Za czasów Elżbiety, królowej angielskiej, która z piekielną nienawiścią prześladowała Kościół Boży, nie wolno było nikomu odprawiać mszy św. ani jej słuchać. Uwięzieni w Londynie za wiarę katolicy angielscy, między którymi był O. Gerard, francuz Jezuita, znaleźli sposób porozumienia się z sobą rozmawiając przez jakąś dziurę, którą odkryli. Wszyscy pragnęli bardzo mszy i komunji św., jedynej pociechy w cierpieniach, lecz jakże przyjść do tego, żeby się na śmierć nie narazić?

Pewien katolik, odwiedzający więźniów dostarczył wszystkiego, co potrzeba do świętej Ofiary: za pieniądze pozyskano względy dozorcy więzienia, ale najtrudniej było zejść się razem.... Potrzeba jest matką przemysłu, mówi przysłowie: czegoż, przy pomocy Bożej, nie dokaże żywa i szczera pobożność? Postarano się o fałszywe klucze, którymi jeden z nich każdego poranku otwierał drzwi więzienia i wszyscy cichutko przychodzili do izdebki kapłana. Tam ubierali ołtarz, niestety! nie tak ozdobnie jakby tego pragnęli.... tam się spowiadali, słuchali Mszy, przyjmowali komunję św. i po krótkiej nauce kapłana rozchodzili się pełni radości i niebiańskiej pociechy.

Ale znalazł się Judasz zdrajca, który ich wydał... Porwano Ojca Gerarda z wielką boleścią jego towarzyszów, i zamknięto go w sławnej wieży londyńskiej. Świątobliwy zakonnik szukał i tam sposobu sprawowania bezkrwawej Ofiary dla pociechy swej duszy, i Pan Bóg mu dopomógł.

W tem nowem mieszkaniu jeden z panów angielskich uwięziony za wiarę miał w pewnych godzinach pozwolenie na przechadzanie się po tarasie. Gdy go kapłan ujrzał, rzucił mu kartkę, w której oznajmił, że pragnie odprawić mszę św. i dać mu komunję; prosił o dostarczenie potrzebnych do tego rzeczy przez jego małżonkę, która go co tydzień odwiedzała.

Ucieszony więzień wszystko uczynił; dozorca pozwolił im dla rozrywki widywać się z sobą. W święto zatem Narodzenia Matki Boskiej, gdy się razem zeszli, więzień uszczęśliwiony upada do stóp kapłana, spowiada się, słucha Mszy św. i przyjmuje ciało Chrystusowe. Ojciec Gerard konsekrował dwadzieścia dwie Hostje, żeby mieć z sobą Przenajświętszy Sakrament, jak to czynili pierwsi chrześcijanie podczas prześladowania wiary i żeby mógł łatwiej dać komunję swemu pobożnemu towarzyszowi.

II.

Hrabia Worcester, jeden z wielkich panów angielskich, wierny wyznawca wiary świętej, pewnego dnia przechadzał się około opustoszałych ruin dawnego klasztoru. Przedstawiono mu stoletnią kobietę, która widziała zakonników tego klasztoru, kiedy Anglja była katolickim krajem. Biedna staruszka skarżyła się, że od sześćdziesięciu lat nie słuchała Mszy świętej, dodając, że zawsze wypełniała przepisy wiary świętej choć bez kapłana, sądząc, że już żadnego księdza w Anglji nie było.

— Czemuś nie zmieniła religji z twoim krajem!... rzecze do niej hrabia z uśmiechem...

— Czekałam ciągle, odpowie poczciwa kobieta, czy naród mój z nową wiarą będzie lepszym jak pierwej. Ach! co to — to nie, panie hrabio!... Co raz to jest gorszym; nie ma miłości Boskiej w tych ludziach! Jam zachowała wiarę moję i dziękuję Bogu za tę łaskę. Spodziewam się tak wytrwać do końca i umrzeć katoliczką jak ojcowie moi.

Staruszka ta mieszkała u protestanta, który zaręczał, że żadne namowy ni obietnice nie zdołały ją przywieść do odstępstwa; i że często oddalała się naosobność dla odmawiania różańca i innych modlitw.

— Wezmę cię do mego pałacu, rzecze hrabia, tam znajdziesz kapłana, będziesz mogła codzień słuchać Mszy św. i komunję świętą przyjmować.

Pan Bóg widocznie tym sposobem nagradzał jej wierność.

Biedna staruszka tak była uszczęśliwiona tą obietnicą, tak zachwycona nadzieją Mszy, komunji, adorowania Pana Jezusa w Przenajświętszym Sakramencie, że z radości tegoż dnia umarła.

Hrabia nazajutrz, zawiadomiony o tej świętej śmierci, nie mógł się wstrzymać od łez:

— Kiedy ta uboga wieśniaczka, mówił, umarła z radości na samą myśl oglądania Najświętszej Hostji, jakież będzie jej szczęście w Niebie, gdy bez zasłony ujrzy Boga i połączy się z nim na wieki!!!

Rozmaitości.

Święto sadzenia drzew.

Uroczystość sadzenia drzew zapożyczona z Anglji a znana tam pod nazwą Arbor day, usiłują dobre chęci niektórych kuratorjów szkolnych zaszczepić u ludu polskiego, celem wyrobienia poczucia w kierunku poszanowania drzew.

Pomysł to nie nowy i już przed laty osiemnastu, pomimo ucisku moskiewskiego był stosowany w najbliższych okolicach pod Warszawą. Pamiętamy jeden z takich dni wiosennych, gdy szeroko rozreklamowane święto sadzenia drzew zapowiedziano na Woli, w granicach gm. Czyste, a udział w tem święcie oprócz licznie zaproszonych gości z Warszawy wraz z przedstawicielami prasy wzięły udział wszystkie szkoły początkowe i fabryczne, istniejące na tem przedmieściu i najbliższej okolicy.

Wszystko się odbyło według programu: i nabożeństwo w kościele miejscowym i liczne przemowy do młodzieży i dziatwy i pochód młodzieży z drzewkami, dla których wzdłuż szosy wynajęci robotnicy wykopali doły i przygotowali, wodę i samo sadzenie pod kierunkiem ogrodników zawodowych, lecz już pod koniec lata nie było ani jednego drzewka, gdyż ta sama przemiła dziatwa zwłaszcza chłopcy polskie wycięły wszystko na witki i kozice do batów rozkupione przez sąsiednich sklepikarzy.

Święto sadzenia drzew należy poprzedzić długą pracą nad kulturalnością samych uczniów i całej dziatwy szkolnej, a dopiero takie uroczystości wprowadzać

Wprowadzenie takich świąt jest możliwe w każdej wsi na Morawach lub w Czechach, gdzie miedze i drogi są wysadzone drzewami owocowemi i nikt nie zerwie najmniejszego jabłuszka, bo w duchu poszanowania cudzej własności wychowano tam cały lud.

Warto przy tej okazji przypomnieć metody jakiemi chronił drzewostan i cieniste aleje od szkodników naprzykład pan marszałek Mniszech, który zasadziwszy wspaniałe aleje Ujazdowskie będące niegdyś kalwarją warszawską z 28 stacjami Męki Pańskiej zasiekł łozami kilku szkodników, niszczących mu lipy i kasztany, zachowane do naszych czasów w Alejach Ujazdowskich.